

Pszczola
[Dark]
Autor: Malvagio

Szpitalny korytarz tonął w pełnej napięcia ciszy, przerywanej jedynie stukotem ciężkich kopyt o lśniąca posadzkę. Tym, który zakłócał spokój, był wytwornie odziany jednorożec, szybkim krokiem przemierzający korytarz w tę i z powrotem, obserwowany czujnie przez stojącego na uboczu starszego pegaza w liberii. Rogaty ogier co jakiś czas zbliżał się do drzwi wiodących do pomieszczenia obok, by przyłożyć do nich ucho w próbie wyłowienia jakiegokolwiek dźwięku. Każda z nich kończyła się jednak pełnym zawodu prychnięciem i powrotem do nerwowego krążenia. Szpitalne sale obłożone były zakłębieniem tłumiącym, którego żaden hałas nie był w stanie przebić.

– Mój panie... – ozwał się nagle pegaz, w jego głosie wyraźnie rozbrzmiewała troska – proszę się nie niepokoić. Pani jest silna i znajduje się w najlepszych kopytach w całym Canterlocie. Wszystko będzie dobrze.

Jednorożec zatrzymał się, nie spojrzał jednak na drugiego ogiera ani nie odpowiedział od razu, wpatrując się jak zakłęty w zamknięte drzwi. W końcu westchnął ciężko.

– To trwa tak długo... zbyt długo – mruknął, uderzając nerwowo kopytem o posadzkę. – Mam złe przeczucia, Lake.

Starszy ogier pokręcił głową, zanim jednak zdążył coś odpowiedzieć, drzwi otworzyły się, wypuszczając na korytarz młodą pielęgniarzkę, jednorożkę o białym umaszczeniu i błękitnej grzywie. Szlachcic natychmiast znalazł się przy niej.

– Siostro, co się dzieje? Czy już...? Czy wszystko w porządku? Żądam wyjaśnień! – wyrzucił z siebie tak szybko, że wszystkie słowa zdawały się stanowić jeden, ogromny, językowy galimatias.

Tym razem to z piersi pegaza wydobyło się ciężkie westchnięcie, starszy ogier nie zdecydował się jednak przemówić, pozostawiając inicjatywę w kopytkach klaczy. Ta natomiast delikatnie, acz stanowczo odsunęła szlachcica od siebie, magią na powrót zamykając drzwi.

– Lordzie Gleaminghorn, wszystko jest w porządku – zapewniła, spoglądając jednorożcowi prosto w jego szmaragdowozielone oczy. – Pewne rzeczy po prostu wymagają czasu... Wiem, że to trudne, ale proszę być cierpliwym – zakończyła z ciepłym uśmiechem, by następnie skłonić lekko głowę i pogalopować w dół korytarza.

Szlachcic odprowadził ją wzrokiem, po czym przystanął u boku swojego sługi, nie zaprzestając przy tym rytmicznego uderzania kopytem w posadzkę. Przez dłuższą chwilę znów był to jedyny dźwięk, zakłócający nerwową ciszę.

– Jak mówiłem, najlepsze kopyta w Canterlocie – pegaz ponownie zdecydował się przełamać ciężki do zniesienia pozorny spokój. Jednorożec spojrzał na niego pytającym wzrokiem. – To była Swift Cure, z rodziny o długiej położniczej

tradycji. Jeśli mnie pamięć nie myli, jej matka odbierała pański poród, mój panie. – Sługa uśmiechnął się lekko do swoich wspomnień. – Szkoda, że biedaczki już z nami nie ma.

– Co mi po tym, że jej matka i wszyscy przodkowie byli znakomici w swym fachu – mruknął z irytacją Gleaminghorn. – To wcale nie oznacza, że i ona jest najlepsza.

– Cóż... – pegaz w zadumie pogładził się po swojej krótkiej bródce – takie rzeczy płyną ponoć razem z krwią. A jeśli nie, White Rowan wciąż pozostaje najlepszym canterlockim lekarzem, prawda?

Szlachcic przytaknął, choć wcale nie wyglądał na przekonanego ani tym bardziej uspokojonego. W milczeniu obserwował powrót Swift Cure, która obdarzyła go jeszcze jednym uśmiechem, po czym powrócił do krążenia po korytarzu niczym zamknięte w klatce dzikie zwierzę.

Sekundy dłużyły się niczym minuty, minuty stawały się godzinami... żaden z ogierów nie był w stanie powiedzieć, ile dokładnie czasu upłynęło od powrotu pielęgniarki do szpitalnej sali. Szlachcic zmęczył się w końcu swym ciągłym spacerowaniem oraz gnębiącym go niepokojem i – wciąż nie odrywając wzroku od drzwi – przysiadł u boku pegaza. Ten zaś obserwował wszystko czujnie spod na wpół przymkniętych powiek, nawet podczas odpoczynku będąc gotowym do działania.

W końcu, gdy wydawało się już, iż oczekiwanie nie będzie miało końca, na korytarzu ponownie pojawiła się Swift Cure. Tym razem to ona zbliżyła się do szlachcica, posyłając mu kolejny, najszerszy i najcieplejszy z dotychczasowych uśmiechów.

– Moje gratulacje, lordzie Gleaminghorn – powiedziała cichym, łagodnym głosem, znów spoglądając prosto w oczy szlachcica, by następnie wskazać pyszczkiem w stronę sali, którą właśnie opuściła. – Ma pan córkę.

Jednorożec zerwał się na równe nogi, wlepiając w pielęgniarkę roziskrzone spojrzenie. Wyraz jego pyska wskazywał, iż sam nie wie, czy powinien dać upust swojej radości i ucałować młodą klacz, czy może zachować raczej zdystansowaną powagę, o wiele bliższą jego lordowskiemu statusowi. Podobne wahanie dało się zauważyć także w ruchach jego ciała – w pierwszej chwili zdawać się mogło, że szlachcic natychmiast pocwałuje do sali, gdzie czekała na niego małżonka wraz z ich źrebieniem, ostatecznie jednak jednorożec nie był w stanie wykonać choćby jednego kroku.

– To... to świetnie – wymamrotał lekko drżącym głosem, szybko jednak, na fali euforii, odzyskując rezon. – Cudownie, wspaniale! – pozwolił sobie na radosny okrzyk i wybuch śmiechu szlachcic. – Powinienem tam być, co ja jeszcze tu robię?! – spytał sam siebie, ruszając żwawo w stronę drzwi. Nie przekroczył ich jednak, zamiast tego odwracając się z powrotem do swego sługi. – Lake, mój drogi, zanieś

szczęśliwe wieści moim przyjaciołom i powiedz, aby czekali na mnie w naszym klubie, musimy należycie uczcić narodziny mojej córki!

– Czy powinienem powiadomić również lorda Pantsa, mój panie? – zapytał pegaz, nie pozwalając szlachcicowi opuścić korytarza.

Przez pysk Gleaminghorna przebiegł cień grymasu, szybko jednak ponownie ustąpił obezwładniającej radości.

– Tak... tak, jego też. Dziś jest dobry dzień na zakończenie sprzeczki z tym starym piernikiem – ostatnie słowa szlachcic mruknął do siebie, znów pozwalając sobie na zanieśenie się cichym śmiechem. – Potem wracaj do posiadłości i powiadom resztę służby... możecie otworzyć dla siebie jedno wino z piwniczki, ale nie bierzcie najlepszych roczników! – w głosie szlachcica zabrzmiała sroga nuta, złagodzona jednak przez uśmiech na jego pysku. – No, leć już!

Pegaz skłonił się, zarazem dziękując za udzielony mu przywilej, po czym oddalił się marszowym krokiem. Tymczasem lord Gleaminghorn, zamiast ostatecznie wcwałowywać do sali, pozwolił Swift Cure w miarę spokojnie się do niej wprowadzić. Jego opanowanie nie utrzymało się jednak długo i wyparowało niczym kamfora, gdy tylko przekroczył próg i za odsuwaną właśnie zasłoną ujrzał swoją małżonkę, kołyszącą w kopytkach małą, kwilącą jednorożkę. Ich córkę.

– Kochanie... – ledwo zdołał z siebie wykrztusić szlachcic, podbiegając do klaczy, by przysiąść przy jej łóżku. Na pyszczku wyraźnie zmęczonej matki odmalował się słaby uśmiech.

– Gdzieś ty był, głuptasie? – spytała cicho, wyciągając lekko głowę i ocierając się nią o pysk ogiera. – Wiesz, ile musiałyśmy czekać?

– Przepraszam, skarbie – odszepnęła szlachcic, całując małżonkę w policzek. – Musiałem wydać dyspozycje Lake'owi... – dodał jeszcze, zanim widok uspokajającego się źrebięcia ponownie uwięził mu głos w gardle. – Nasza malutka... jest piękna, zupełnie jak jej matka... – zdołał jeszcze dodać po krótkiej chwili.

Szlachcianka uśmiechnęła się lekko, nie zaprzestając kołysania, choć nieco zwalniając jego tempo.

– Oczy ma po tobie – szepnęła, przymykając powieki. Spojrzenie szlachcica roziskrzyło się mocniej, gdy zorientował się, że jego żona ma rację. Z drobnego ciała wpatrywały się w niego dwa malutkie szmaragdy.

– Nasza mała Meadow... – wymruczał ogier, ostrożnie dotykając kopytem nos źrebięcia i uśmiechając się nieco szerzej. – Wyrośniesz na wielką, piękną damę, moja malutka pszczołko...

– Lordzie Gleaminghorn... – Kolejne ojcowskie zachwyty zostały przerwane nieśmiało przez Swift Cure. – Przepraszam, ale doktor Rowan prosi pana na słówko. – Pielęgniarka wskazała kopytem na stojącego po przeciwnej stronie sali pegaza.

Szlachcic westchnął i z wyraźnie ciężkim sercem oderwał się od podziwiania swojej córeczki, udając się na rozmowę z lekarzem i pozostawiając klacze same. Jego małżonka na powrót podniosła powieki, z niepokojem przenosząc spojrzenie ze źrebięcia na pielęgniarkę.

– Czy... czy coś jest nie tak, siostrze? – spytała z wyraźną obawą w głosie. – Czy z małą wszystko dobrze...?

– Proszę się nie obawiać, lady Nightingale – uspokajającym tonem odparła Swift Cure, wzbogacając swoją odpowiedź o ciepły uśmiech. – Pierwsze obserwacje wskazują, że waszej córeczce nic nie dolega. – Jakby dla mocniejszego potwierdzenia swoich słów, pielęgniarka położyła kopytko na jednej z przednich nóg szlachcianki. – Doktor Rowan chce po prostu poinformować o tym pani małżonka, a także wspomnieć o dalszych szpitalnych procedurach, zając się formalnościami... i przede wszystkim pogratulować mu – zakończyła weselszym tonem.

Lady Nightingale przechyliła lekko głowę, by móc spojrzeć na rozmawiających ze sobą ogierów. Choć nie słyszała wyraźnie słów, wszystko wskazywało na to, że pielęgniarka ma rację i nie ma najmniejszych powodów do obaw. Przekonanie stało się całkowitą pewnością, gdy szlachcianka dostrzegła, że White Rowan i jej mąż stukają i potrząsają swoimi kopytami. Na pyszczku jednorożki znów pojawił się uśmiech.

– To dobrze... tak, dobrze... – szepnęła, całując pyszczek źrebięcia, które na powrót zaczynało kwilić. – Cii... nie płacz, malutka... Powinnam ją teraz nakarmić, prawda?

– Zgadza się – przytaknęła Swift Cure. – Mała powinna potem zasnąć na kilkanaście godzin, a i pani zasługuje na długi odpoczynek... w końcu obie świetnie się dzisiaj spisałyście. Taka prawda – dodała, widząc, że szlachcianka próbuje jakoś zbagatelizować swoją pracę. – Proszę, pomogę pani...

Pielęgniarka delikatnie chwyciła źrebię swoją magią, po czym równie ostrożnie i delikatnie pomogła drugiej klaczy położyć się na boku, w pozycji, w jakiej zwykły karmić swoje dzieci jednorożki. Po zadbanie, by lady Nightingale leżała możliwie najwygodniej, na powrót położyła przy niej małą Meadow, pozwalając źrebięciu posilić się matczynym mlekiem.

– Nic nie porusza serca tak, jak matka karmiąca swoje dziecko – stwierdziła łagodnie Swift Cure, poprawiając poduszkę pod głową szlachcianki. – Może za wyjątkiem radości obojga rodziców. Wie pani, to właśnie dla takich chwil zdecydowałam się kontynuować rodzinną tradycję i pójść w ślady matki – dodała nieco ciszej.

Nightingale nie odpowiedziała od razu, zamiast tego na powrót przymykając powieki. Pomimo całej radości nie była w stanie zignorować swojego zmęczenia.

– Tak, to coś pięknego... – szepnęła w końcu, poszerzając nieco uśmiech na swoim pyszczku. – Wraz z mężem długo staraliśmy się o źrebię... a teraz, gdy nareszcie się go doczekaliśmy... wciąż wydaje mi się to nieco... nierealne.

Zanim Swift Cure zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, do klaczy powrócił lord Gleaminghorn wraz z doktorem Rowanem. Pegaz przyjrzał się uważnie zza swoich okularów zarówno lady Nightingale, jak i wciąż jedzącemu źrebięciu, po czym z uznaniem pokiwał głową. Na jego pysku pojawił się cień uśmiechu.

– Doskonale, widzę, że nie pojawiły się żadne problemy z karmieniem, bardzo dobrze – wymamrotał; ciężko było stwierdzić, czy kierował swe słowa do kogokolwiek, czy jedynie mówił do siebie. Po chwili poprawił okulary i odchrząknął. – Po zakończeniu karmienia będą mogli państwo spędzić z córką trochę czasu, potem zabierzemy ją jeszcze na kilka badań, zwykła formalność, nie ma powodów do obaw... – ton lekarza zdradzał nad wyraz dobrze, że już wiele razy musiał wygłaszać taką formułkę. – Pierwszą noc mała spędzi na obserwacji wraz z innymi źrebiętami, ale będzie to jedyna rozłąka, jaka was czeka – zapewnił, skrzydłem dotykając swej piersi.

– Czy to na pewno konieczne? – zapytał szlachcic, wyrażając wątpliwość, jaką zauważył w spojrzeniu małżonki.

– Obawiam się, że tak – odparł Rowan, znów poprawiając swoje okulary. – Nie chodzi tylko o względy proceduralne. Proszę się jednak nie martwić, to tylko kilka godzin, które i tak pani prześpi, milady. Rankiem siostra Cure przyniesie małą do karmienia i odtąd będziecie już nierozłączne, jakby nadal łączyła was pępowina. – lekarz parsknął, najwyraźniej rozbawiony własnym dowcipem. Nikt jednak nie roześmiał się razem z nim. Nieco zmieszany, pegaz znów odchrząknął. – Cóż, wzywają mnie teraz inne obowiązki. Siostró, proszę za mną, młodzi rodzice zasługują na odrobinę prywatności. Jeszcze raz, moje najszczerze gratulacje, lady Nightingale, lordzie Gleaminghorn... – Rowan skłonił głowę najpierw przed szlachcianką, a następnie jej mężem, po czym szybkim krokiem opuścił salę.

Pielęgniarka posłusznie podążyła za lekarzem, zatrzymując się w progu, by raz jeszcze spojrzeć na parę ze źrebięciem i posłać im kolejny uśmiech.

– W razie czego, będę tuż obok – zapewniła, kłaniając się, by następnie wyjść na korytarz.

Gleaminghorn przysiadł przy łóżku swej małżonki i położył pysk przy jej pyszczku. Nightingale uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała nic. Trwając w milczeniu, para obserwowała swoją małą córeczkę.

Słońce skryło się już za horyzontem, kiedy Swift Cure, nucąc pod nosem ulubioną melodię, raźnie przemierzała szpitalne korytarze. Kończący się właśnie dyżur młoda pielęgniarka mogła uznać za w pełni udany – nie licząc małej Meadow, pomagała przy odbieraniu jeszcze trzech porodów, z których wszystkie przebiegły bez komplikacji i zakończyły się szczęśliwie. Lubiała takie ciche, pełne spokoju dni, a niestety, mogła się nimi cieszyć dość rzadko. Teraz, po ostatnim upewnieniu się, że lady Nightingale wciąż spokojnie śpi, odpoczywając po swoim ogromnym wysiłku, pozostała jej już tylko jedna rzecz do zrobienia, zanim będzie mogła uznać dzień za zakończony.

Pielęgniarka skierowała swe kroki do sali, w której odpoczywały nowonarodzone źrebięta. Skinieniem głowy pozdrowiła koleżankę po fachu – klacz

ziemną, która czuwała nad ich bezpieczeństwem, po czym rozpoczęła własny obchód. Już po kilkunastu sekundach z ulgą mogła stwierdzić, że dzieci pogrążone są w spokojnym, zdrowym śnie. Wszystko wskazywało na to, iż będzie to naprawdę dobry, udany dzień.

Ostatnim źrebięciem, przed którym stanęła Cure, była Meadow. Pielęgniarka przez chwilę wpatrywała się w małą jednorożkę, by w końcu uśmiechnąć się lekko i delikatnie wyjąć ją z łóżeczka tak, by jej nie obudzić.

– Coś się stało, Swift? – wyraźnie zaniepokoiła się obserwująca wszystko klacz ziemna. – Przecież z małą lady Nightingale chyba wszystko w porządku? Powiedz, że tak... – klacz głośno przełknęła ślinę. Jej obawy były w pełni uzasadnione: gdyby cokolwiek stało się dziedzicze tak wysoko postawionego rodu, mogłoby się to fatalnie skończyć dla całego szpitala.

– Nie, nie, spokojnie – uspokajającym tonem odparła Cure. – Wszystko w porządku. Rowanowi zapadziały się gdzieś dane z pierwszych pomiarów... a oczywiście nie chce uwierzyć, że mogłabym je pamiętać. Ogiery... – Klacz prychnęła z lekką irytacją, wywołując u swojej koleżanki atak tłumionego chichotu. – Tak, czy inaczej, mam ją jeszcze raz zważyć i zmierzyć, a potem będę mogła już pójść do domu – ostatnie słowo płynnie przerodziło się w ziewnięcie. – Padam z nóg.

– Rowan bywa okropnie upierdliwy – dosadnie stwierdziła klacz ziemna. – Ale co poradzić? Powodzenia! – rzuciła na odchodne, powracając do swoich obowiązków.

Swift Cure odpowiedziała jedynie uśmiechem i skinieniem głowy, po czym wraz z małą Meadow opuściła salę. Szpitalne korytarze nigdy nie były całkowicie puste i nawet teraz kręciły się po nich liczne kucyki, zarówno pacjenci ze swoimi rodzinami, jak i personel placówki. W żadnym z nich pielęgniarka ze źrebięciem nie wzbudziła jednak większego zainteresowania, nie licząc kilku uśmiechów i cichych zachwyty nad urodą klaczki. To również ją cieszyło. Nie chciała tracić więcej czasu, niż było to konieczne.

– Wiesz, pszczołko, twoja mama o mały włos nie zrobiła nam wszystkim psikusa... – szepnęła nagle; choć słowa zdawały się być kierowane do śpiącego źrebięcia, jasnym było, że tak naprawdę mówiła do siebie. – Miała cię w końcu urodzić już parę dni temu. Z dziećmi przed terminem nie ma takich problemów, jak z tymi po... nie ma wtedy zbyt wiele czasu, często trzeba improwizować, a to może skończyć się nie najlepiej, tsk, tsk, tsk... – W tym momencie pielęgniarka minęła salę, w której znajdowały się przyrządy potrzebne do zważenia i zmierzenia źrebięcia. – Na szczęście teraz wszystko kończy się szczęśliwie, pszczołeczko...

Klacz zatrzymała się u wylotu schodów wiodących do piwnicy i uważnym wzrokiem obrzuciła prawie pusty korytarz. Upewniwszy się, że w dalszym ciągu nikt jej nie obserwuje ani nie zwraca baczniejszej uwagi, szybkim krokiem zaczęła zagłębiać się w podziemia szpitala. Nie miała zbyt wiele czasu, musiała się spieszyć, zanim nieobecność źrebięcia przedłuży się ponad miarę i zacznie budzić niepokój. Zapewne zdołałaby wówczas opanować sytuację, ale mogło ją to kosztować

zdecydowanie zbyt wiele wysiłku i energii. O wiele lepiej było nie podejmować żadnego niepotrzebnego ryzyka.

Wygląd piwnicznych korytarzy zdradzał, że była to niezbyt często odwiedzana część szpitala – nieskazitelnie czyste, białe i gładkie ściany ustępowały miejsca odrapanym powierzchniom, pokrytym gdzieś tam pajęczynami. Nie mogło to dziwić, biorąc pod uwagę, że tej konkretnej części podziemi tak naprawdę już od dawna nie wykorzystywano. Właśnie z tego powodu Swift Cure wybrała to miejsce; nadawało się doskonale do jej planów. Po krótkiej wędrówce pielęgniarka stanęła przed zamkniętymi drzwiami, do których tylko ona miała klucz. Już dawno temu postarała się, by nikt inny nawet przez przypadek nie dostał się skrytego za nimi pomieszczenia.

Pokój nie należał do największych i nie wyróżniał się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć niskiego, długiego stolika, przykrytego puchowym kocem, który zdawał się nijak nie pasować do otoczenia. Prócz niego w pomieszczeniu znajdował się jedynie pozbawiony komina żelazny piecyk, w którym buzował bez wątpienia magiczny ogień – za jego pochodzeniem przemawiał brak zarówno dymu, jak i jakiegokolwiek rozpałki, oraz siła blasku, jaki rozłaczał. Ostatnim elementem wystroju był wiklinowy koszyk, wciśnięty między piecyk a ścianę, i to właśnie na nim skoncentrowała się uwaga Swift Cure, gdy tylko delikatnie odłożyła Meadow na stolik.

– Już jestem, maleńki – obwieściła słodkim głosem. Gdy tylko rozbrzmiało ostatnie słowo, pokrywka koszyka odchyliła się nieco do góry, wypuszczając na zewnątrz małą główkę o barwie wypłowiałej czerni.

Główkę, która na pewno nie należała do kucyka.

Stworzenie z koszyka z ciekawością przypatrywało się, jak przez ciało pielęgniarki przesuwają się fale pomarańczowo-złotych płomieni i z wyraźną uciechą zapiszczało, kiedy magiczny ogień zniknął. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała jednorożka, znajdowała się teraz o wiele większa od kucyka istota, przypominająca dziwnego, wypaczonego, czarnego alicorna. Swift Cure przeistoczyła się w stworzenie znacznie wyższe i nieco bardziej masywne od księżniczki Celestii, z grzbietu którego wyrastała para owadzich skrzydeł, głowę wieńczył zaś długi i cienki róg, przywodzący na myśl olbrzymie żądło; jego nasada tonęła w długich, pozlepianych w strąki, złotych włosach. Plecy i szyję istoty przecinały żółtawo-pomarańczowe pręgi, całości obrazu dopełniały zaś dziury, które można było dostrzec zarówno w jej kopytach, jak i włosach oraz ogonie.

„Swift Cure” za pomocą magii wyjęła stworzonko z koszyka i położyła je obok źrebięcia. Jego owadzie skrzydła, pręgi przecinające małe ciało oraz dziurawe kopytka, a nawet żółtawe oczy, odpowiadające barwą tęczęwkom prawdziwej postaci pielęgniarki, jasno wskazywały na łączące ich pokrewieństwo. Mała istota podpełzła do Meadow, przyglądając się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Po krótkiej chwili spędzonej na tej obserwacji, przewróciła się na grzbiet, machając nóżkami w stronę złotowłosej i bezgłośnie kłapiąc pyszczkiem.

– Jesteś głodny, wiem, ale nie mamy wiele czasu, maleńki... – stwierdziła ta, która była Swift Cure. Po zmianie postaci tembr jej głosu stał się głębszy, a każdemu wypowiedzanemu słowu towarzyszyło ciche brzęczenie. – To będzie ci musiało wystarczyć... – dodała, po czym odchyliła głowę do tyłu, by wydać z siebie charczący dźwięk, przypominający przeplukiwanie gardła. Po chwili ponownie nachyliła się nad pręgowanym niby-żrebięciem, wypuszczając ze swoich ust strużkę gęstej cieczy o barwie i konsystencji miodu prosto do otwartego pyszczka.

Mała istota łapczywie pochłonęła ten posiłek, ale nie wyglądała na najedzoną, co dodatkowo podkreślało dalsze kłapanie. Złotowłosa uśmiechnęła się i pokręciła lekko głową, nie wypływając z siebie jednak kolejnej porcji pokarmu. Zamiast tego znów użyła swojej magii, by obrócić swoje młode na nogi; jej aura objęła jednocześnie uśpioną Meadow, wysuwając ją z zawiniątka, w którym się znajdowała. Niezadowolone niby-żrebię jeszcze kilka razy kłapnęło pyszczkiem, posłusznie zbliżyło się jednak do szlacheckiej córki, przyglądając się jej dziwnie badawczym wzrokiem, jak na tak młodą istotę. „Swift Cure” obserwowała to z uśmiechem, a po chwili znów przywołała swoją magię, tym razem po to, by ostrożnie unieść powieki jednorożki i najwyraźniej pozwolić pręgowanemu stworkowi przyjrzeć się także jej oczom. Po chwili stworzonko znów zapiszczało, a przez jego ciało przemknęła płomienna fala, podobna do tej, której do zmiany swej postaci użyła złotowłosa.

Kiedy płomienie opadły, na stoliku leżały dwie identyczne jednorożki.

Pielęgniarka z uznaniem pokiwała głową, a jej uśmiech stał się bardziej... drapieżny. Za pomocą magicznej aury ułożyła prawdziwą Meadow w koszyku, tym razem sprawdzając także, czy niby-żrebię nie pozostawiło w nim żadnych śladów. Oględziny musiały wypaść pozytywnie, uwaga „Swift Cure” przeniosła się bowiem z powrotem na sobowtóra szlacheckiego dziecka.

– Będziesz się nazywał Meadow... – wymruczała z czułością, zawijając fałszywe żrebię w rożek pozostawiony po prawdziwym; mała istota zdawała się z uwagą wsłuchiwać w jej słowa. – Będzie ci dobrze, obserwowałam twoich „rodziców” i wiem, że dadzą ci dużo, dużo miłości! A nie ma miłości słodszej od rodzicielskiej... – złotowłosa oblizwała się ze smakiem. – Będziesz jadł i karmił też mnie, i rósł silny, ku chwale swojej matki, swojej królowej i całego roju Coucabeille! – „Swift Cure” wyszczerzyła zęby, wywołując tym sam uśmiech także na pyszczku fałszywej Meadow. – A teraz śpij, maleńki – dodała, całując jej czoło, a jednocześnie posiłkując się magią, by ułożyć ją do snu.

Gdy tylko żrebię zasnęło, pielęgniarka powróciła do postaci błękitnogrzywej jednorożki, zamknęła pokój na klucz i szybkim krokiem – starając się jednak nie wyglądać podejrzanie – pospieszyła z powrotem do sali ze śpiącymi dziećmi. Także i tym razem nikt nie zwrócił na nią uwagi, za wyjątkiem pilnującej żrebiąt kłaczy ziemnej, którą zaczynała już niepokoić przedłużająca się nieobecność koleżanki. Została jednak szybko uspokojona historią o nagłym przebudzeniu się małej Meadow i konieczności ponownego ułożenia jej do snu przed powrotem, by nie obudziła

pozostałych dzieci. Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Do jego pełnej realizacji pozostał już tylko jeden, finałowy element...

Pielęgniarka nie napotkała żadnych przeszkód podczas swojego powrotu do piwnicy ani podczas wychodzenia ze szpitala. Choć na wszelki wypadek trzymała swą magię w pogotowiu, nikt nie zainteresował się zawartością niesionego przez nią koszyka, w którym wciąż spoczywało uśpione – tym razem także za pośrednictwem magii – źrebię. Dlaczego zresztą ktokolwiek miałby to zrobić? Była przecież Swift Cure, pielęgniarką powszechnie znaną i szanowaną, obdarzaną zaufaniem zarówno przez pacjentów, jak i personel. Była najlepszą położną w całym Canterlocie. Dlaczego ktokolwiek miałby ją o cokolwiek podejrzewać? Była nieskazitelna.

Nie mogła wymarzyć sobie lepszej przykrywki.

Za murami szpitala powitało ją chłodne, nocne powietrze. Klacz opatulila się mocniej swym płaszczem, naciągając na głowę kaptur, którego głęboki cień łapczywie pochłonał rysy jej pyszczka. Nie chciała ryzykować przypadkowego rozpoznania przez kogoś na ulicy ani tym bardziej niepotrzebnego zmieniania postaci. Ktoś łatwo mógł ją tu zauważyć, samemu pozostając przy tym niewykrytym. Jeśli by do tego doszło... choćby był to brudny i odrapany włóczęga... mogłoby to ściągnąć na nią uwagę, której wcale nie pragnęła i nie potrzebowała.

Skąpany w wieczornym cieniu Canterlot, który przemierzała zakapturzona klacz, nie różnił się zbyt wiele od szpitala o tej porze. Uliczki przypominały po prostu gorzej oświetlone korytarze, po których krążyło niewiele kucyków, skoncentrowanych na własnych sprawach lub spieszących do swoich domów. Stolica Equestrii słynęła co prawda z nocnego życia, rozbrzmiewało ono jednak daleko od wybieranych przez pielęgniarkę ścieżek. Boczne uliczki. Zaułki. Przejścia tak wąskie i zaniedbane, że większość mieszkańców pewnie nie zdawało sobie nawet sprawy z ich istnienia. „Swift Cure” pewnie przemierzała je wszystkie, zdążając z porwaną Meadow do tylko sobie znanego miejsca. Nagle, po przemierzeniu kolejnej obskurnej alejki, zatrzymała się, a choć nikt nie mógł tego zauważyć, na jej pyszczku pojawił się szeroki uśmiech. Wdychane powietrze przyniosło ze sobą zapach wody. Klacz znalazła się w pobliżu płynącej przez obrzeża miasta rzeki.

– Zaraz będzie po wszystkim, pszczołeczko – szepnęła, nachylając się do koszyka.

Zawieszony na niebie sierp księżyca i jego bliźniak, odbijający się w niemal zupełnie gładkiej tafli, byli jedynymi, niemymi świadkami tego, jak klacz szybkim krokiem dotarła nad krawędź toni. Przez chwilę zdawać się mogło, że nie zatrzyma się i zanurzy się w niej razem z niesionym przez siebie koszykiem, zamiast tego jednak zaczęła przesuwając się wzdłuż brzegu; wybrany przez nią kierunek zdawał się przybliżać ją nieco do centrum miasta.

Wędrówka pielęgniarki zakończyła się w pobliżu położonego tuż przy rzece ogromnego domostwa, nad drzwiami którego wymalowany był symbol potrójnego celestiańskiego słońca – jednego wielkiego, otoczonego przez dwa malutkie. Uśmiech na pyszczku klaczy nieznacznie się poszerzył. Dotarła do swego celu.

– Tutaj nasze drogi się rozchodzą, pszczołko – powiedziała łagodnie, uchylając lekko wieko koszyka. – Choć niewykluczone, że jeszcze się kiedyś spotkamy, wiesz? Może się zdarzyć, że pewnego dnia... będę pomagać rodić i tobie... – ciepły ton klaczy dziwnie kontrastował z ponurą treścią, którą odebrać można było jako groźbę.

Jakby dla właściwego przypieczętowania swoich słów, pielęgniarza zaśmiała się cicho, po czym ostrożnie, niemal z pietyzmem, położyła koszyk przed wejściem do domostwa i mocno – chcąc mieć absolutną pewność, że zostanie usłyszana – kilkakrotnie uderzyła kopytem w drzwi. Z wnętrza budynku dobiegł gwar, wskazujący na to, że jej wysiłki zakończyły się sukcesem; klacz skwitowała to kolejnym uśmiechem i wycofała się w cień, skąd bezpiecznie mogła obserwować dalszy przebieg wypadków.

Drzwi otworzyły się, wypuszczając z domostwa starszą już pegazkę – w świetle, bijącym z pomieszczenia za nią, można było zauważyć, że nosi szaty ozdobione tym samym symbolem, co ściana budowli. Niemal od razu dostrzegła porzucony przez pielęgniarza koszyk, a z jej piersi wydobyło się ciężkie westchnienie. Zrezygnowanym wzrokiem rozejrzała się po okolicy, po czym – nie dostrzegając nikogo – pokręciła ze smutkiem głową.

– Kolejne porzucone dziecko... – do uszu skrytej w cieniu doleciały ciche słowa wypowiedane przez skrzydlatą klacz i towarzyszące im jeszcze jedno westchnięcie. Chwilę później pegazka chwyciła koszyk w zęby i wycofała się z powrotem do wnętrza, zamykając za sobą drzwi.

„Swift Cure” opuściła swoją kryjówkę i zaśmiała się cicho. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Tak, jak musiało się potoczyć. Zakapturzona klacz ponownie przywołała nuconą w szpitalu melodię i ruszyła w drogę powrotną do swego domu.

Wiedziała, że postąpiła słusznie – inne zapewne pozbyłyby się małej, czy to porzucając ją gdzieś na pewną śmierć, czy też po prostu topiąc ją w pobliskiej rzece. Ona jednak była spośród nich wszystkich najstarsza. Wiedziała, iż byłoby to niepotrzebne, że stanowiłoby... marnotrawstwo. Dlaczego miałyby zabijać kogoś, kto w przyszłości może stać się żywicielem dla kolejnego z jej dzieci? Marnotrawstwo. Smakowała to słowo w swoich myślach.

Oczywiście wyobraźni widziała, jak stara pegazka znajduje w koszyku napisany przez nią list i powoli odczytuje jego treść. Chwytała za serce opowieść głupiutkiej służki ulegającej swemu żonatemu lub też nie panu, ciąży i mały bękart, którego należy się pozbyć. Prośba o znalezienie mu domu poza stolicą. Historia, jakich wiele w Canterlocie. Żadnych nazwisk, żadnych oskarżeń. One nie były konieczne. Miała wprawę w pisaniu takich listów. Pisała je jako Swift Cure. Pisała je jako jej matka. Pisała je jako matka jej matki... i tak przez kolejne pokolenia. Prawdę powiedziawszy, sama straciła rachubę, od ilu już dokładnie. Przemawiało przez nią doświadczenie wielu lat. Miała wprawę. I wiele przyszłych pokoleń na jej dalsze nabywanie.

Tak naprawdę wyświadczała kucykom przysługę. One oczywiście nigdy by tego nie przyznały. Uznałyby ją za potwora, starałyby się zmusić ją do poniesienia

odpowiedzialności za jej „zbrodnie”. Ale czyż nie ujmowała im ich trosk? „Ich” dziecko nigdy nie będzie chore. Jej rasa nie choruje. Będzie zawsze posłuszne, aby nie utracić ich słodkiej miłości. Nikogo nie zabijała. Dawała im dzieci doskonałe. Dzieci, z których mogli być dumni. Dzieci, jakich zawsze pragnęli. Uczciwa wymiana.

Niemy i ślepy księżyc obserwował, jak zakapturzona klacz rozpływa się w mroku kolejnej uliczki.

Słońce podniosło się już znacznie nad horyzont, kiedy do pokoju lady Nightingale wkroczyła pielęgniarka z jej źrebięciem. Szlachcianka radośnie wyciągnęła ku nim kopyta.

– Pora karmienia – obwieściła z promiennym uśmiechem Swift Cure.